

W Radomiu siedemnasta premiera od początku istnienia teatru i trzecia bieżącego sezonu. „Sen nocy letniej” Williama Szekspira jest bez wątpienia wydarzeniem dużej miary. I teatr i jego widzowie długo czekali na pojawienie się tego autora na radomskiej scenie, a wyczekiwanie to, całkiem zrozumiałe, przyniosło efekt godny ambitnego zespołu.

„Sen nocy letniej” — jedna z dwu komedii Szekspira jest zarazem najbardziej erotyczną sztuką mistrza ze Stratfordu. Nie, nie ma tu pomyłki, ta komedia wypełniona jest erotyzmem żywiołowym, by nie powiedzieć jurnym. Kochankowie mówią o sobie, że są niepoczytalni, fascynacja miłością graniczy z zupełnym zatraceniem siebie, „zaczadzeniem”. Bardzo trafnie zauważył Jan Kott, że „miłość spada jak jastrząb, świat się zapada, kochankowie widzą tylko siebie. Miłość u Szekspira wypełnia całą istotę. Jest zachwyceniem i pożądaniem”. Fenomen ten wyjaśnia poniekąd geneza komedii napisanej „na zamówienie” — dla uczczenia zaślubin arystokratów. Prawie tak, jak nasza „Odprawa posłów greckich”.

W tradycji, obowiązywały dwa wzorce teatralnej realizacji „Snu nocy letniej”: klasycyzujący z tunicami i w stosownej architekturze (fronton pałacu, stylowy ogród) i operetkowo-cyrkowy. Nurt bajkowy, odczytany przez reżysera dosłownie, zacierając ostrość dialogów i brutalność sytuacji. Jerzy Rakowiecki — reżyser radomskiego spektaklu poszedł inną, całkowicie własną drogą, sublimując wątki erotyczne, dramatyzując intrygę, czyniąc z „krotchwili” spójne teatralne intermedium.

Można by się spierać, czy owa sublimacja nie poszła zbyt daleko. Bo zważmy: była to bardzo współczesna komedia miłosna odzwierciedlająca dosyć wulgarnie w tej materii obyczaje z zakresu spraw zwanych intymnymi. Wystarczy przypomnieć, jakimi słowy zwraca się Lizander do Hermii:

Odczep się, kocie; precz nędzna istoto,
Albo cię strzasnę z siebie
jak gadzinę

Dzisiaj uznalibyśmy taką odzywkę już nie za nietakt, ale wręcz chamstwo. Za czasów Szekspira była to „normalka”, bo przecież nie o ludziach z marginesu pisał tę sztukę. Cała zresztą komedia zakrawa na „pijackie party”, bachiczną prywatkę z okazji wesela. Nie ma w niej żadnych nie-

domówień, wszystko jest jasne, chociaż zakamuflowane „snem”, podczas którego wszyscy śpią z wszystkimi, wciągając do orgii osia, który jest tu uosobieniem nie tyle głupoty co jurności (zoolog mógłby tu podać wiele pikantnych szczegółów). Piszę o tym dlatego, że publiczność traktuje zaloty Tytania do niepozornego zwierzaka jako żart, trochę przewrotny, ale jednak żart. Nic fałszywszego, żadna zwierzęcej miłości ko-

doprowadza widownię do stanu żywiołowej radości. Owa krotchwila — teatr w teatrze stanowi majstersztyk, pokazowo etiudę teatralną. Ale też zaangażowano do niej najlepsze siły aktorskie, by wymienić jeszcze Jerzego Głębowskiego (Głodomór i Poświata Księżycowa), Jerzego Wasilczyńskiego (Klin i Lew) i Huberta Bielawskiego (Ryj i Mur). Jak widać, gra się tu nie tylko role postaci, ale przedmiotów, a nawet zjawisk

nego instynktu scenicznego, ekstrakt kobiecego wdzięku i talentów uwodzicielskich. Radcy galicyjscy mawiali przy takich okazjach w swych lożach „szelmutka, oj, szelmutka”. Zadebiutował na scenie Zygmunt Wojdan w koturnowo-kostiumowej roli Egeusza. Odniosłem wrażenie, jakby stracił siłę przekonania i wiarygodność emanującą z niego w dyrektorskim gabinecie, gdzie czuje się pewniej i prezentuje okaziej. Oby ta zło-

jąc się wszakże w ryzach i nigdy nie wypadając ze stylizacji określonej reżyserską koncepcją. Rzecz ciekawa, że dopiero w tym przedstawieniu zarysowały się dosyć jasno indywidualności aktorskie, a przecież sama materia dramaturgiczna nie zawsze temu sprzyja, by przywołać tu „miłośny kwartet” mało w tekście zindywidualizowany, raczej szablonowy i monotony. Może dlatego amant: Jerzy Stępkowski (Lizander) i Ryszard Balcerak (Demetriusz) wypadli trochę blado. No tak, ale oni przecież nie walczą (w każdym razie, jeśli walczą, to mało przekonująco), oni się bronią przed napalczliwością żadnych przeżyć partnerek.

Urzekająca jest poetyka tego spektaklu, a szczególnie jego finał, owo „przebudzenie”, poranne zawstydzenie miłosnym szaleństwem. Jest tu podkreślenia godna wierność Szekspirowi — poecie bardziej niż dramaturgowi. Bo też cała ta miłosna komedia wypełniona jest najczystsza poezją, a „mowa Szekspira — jak to zauważył współczesny — jest złotousta i miodopłynna”, godna naśladowania przez Muzy. Proszę się tylko dobrze wsłuchać w słowa wypowiedziane w akcie V:

Poeta okiem zatacza
w natchnieniu
Z ziemi ku niebu i z nieba
ku ziemi.
Gdy wyobraźnia nasuwa
marzeniu

Kształty nieznane, poeta
swym piórem
Je ucieleśnia, przydając
nicości
Miejsce na ziemi i nadając
imie.

Tak umie igrać wielka
wyobraźnia.
Dodajmy: tylko wielka wyobraźnia, wsparta wrażliwością i rzetelnością rzemiosła, może ucieleścić intencje poety. Tak się też stało. Ba — intencje te zostały przybliżone współczesnemu widzowi, a to już wielka sztuka wprowadzić go na dwie godziny w poetycko-teatralny trans z taką siłą, by zapomniał gdzie jest i co się z nim dzieje. Z tego „Snu” budzimy się dopiero w szatni, a wywala on w nas to wszystko, co zatrącamy — codzienni zjadacze chleba w kolejkach po masło do niego.

SUKCES dzielą: scenograf Ryszard Winlarski, autor i aranżer muzyki Jacek Szczygiel oraz choreograf Barbara Fijewska. Sam zestaw nazwisk mówi o tym, z jaką powagą i poczuciem odpowiedzialności wprowadzono na radomską scenę Szekspira. Doceniają to widzowie, owacyjnie dziękując wykonawcom po zapadnięciu kurtyny i powtarzając słowa jednej z postaci: „Czy jesteście pewni, że nas zbudzono, bo mnie się wydaje, że nadal śnimy”. To jest właśnie prawdziwy teatr.

STANISŁAW MIJAS

Sen o miłości

chanka dobrze wie, kogo uwodzi. Tak też tę rolę portaktowała Grażyna Barburka, która wydaje się bagatelizować tak dla widzów oczywisty fakt, że pod maską osia ukrywa się przystojny i atrakcyjny mężczyzna — Konrad Fulde. Grając dwie charakterystyczne role (Dupek i Pyramus) przysporzył nam ten aktor wielu zabawnych przeżyć. Cała zresztą „banda sześciorga” pod wodzą Włodzimierza Manczewicza (Pigwa i Prologus) śpiała się znakomicie, a już Krzysztof Kursa (Flet i przezabawna Tyżkę)

abstrakcyjnych. Pisałem już kiedyś na tym miejscu jak trudno jest zawodowcowi zagrać amatora. W radomskim „Snie” jest to oczywisty benefis zawodowców, z reżyserem na czele.

ALE, ale. Nie byłoby tego przedstawienia w tym kształcie, gdyby nie uroda i wdzięk pań. Najbardziej leniwy widz nabierze ochoty do pofolgowania naturze, gdy zobaczy w akcji Ewę Bettę (Hermia) i Ewę Pietras (Helena). To już uosobienie inteligencji i wrodzo-

śliwość nie sprowokowała dużych przekory.

Panem sceny, człowiekiem, który jest wszędzie i wyprawa niesłychane cuda i sztuczki jest znakomity tu Andrzej Iwiński, którego epizody oglądane wcześniej nie pozwalały na jednoznaczny osąd. Jego Puck jest faktycznym reżyserem scenicznej akcji. Jest błaznem, ludowym diabłem wyprowadzającym wędrowców na bezdroża i manowce, motającym intrygę, wywołującym instynkty. Robi ze swym ciałem dosłownie karkołomne sztuczki, trzyma-